Nr. 18. We Lwowie dnia 30. Kwietnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Niebo zasnute mgłą.

Niebo zasnute mgłą,
Lecz słońce świeci ponad mgłami.
Dusza przeboli chwilę złą,
Złotemi wzmachnie znów skrzydłami
I ponad troski, ponad łzy
Poleci znów, swobodna i radośna,
Gdzie słowik spiewa, kwitną bzy.

Bo wiosna w nas,
Bo wiosna tkwi, zamknięta w tym spokoju,
Że siły zła nie zwalczą w nas
Drogich nam uczuć zdroju;
Że ponad mgieł posępny cień,
Co wkoło czarną ściele noc,
Wypłynie znów pogodny dzień,
W słoneczną zbrojny moc!

Wacław Sieroszewski.





17)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

Czepiec.

Króla.

2-gi góral.

E! króla! toć my do Warszawy
niejedno pismo słali z wielką prośbą,
by nas ochraniał od krzywdy... napróżno...
Takiego króla...

Czepiec.

Juści! Tylko wiecie,
za taką zdradę już jest ustawiony
palik w Krakowie, czeka na wnętrzności
pana hetmana... A pan hetman śmierci
bardzo się boi — zwłaszcza też od pala.

Krzyś.

Będzie wojował do ostatniej kropli...

Czepiec.

Niedźwiedź w oklepcach, kiedy mu do skroni
strzelec przyłoży lufę, będzie ryczał,
ale do walki niezdatny... Wie o tem
i pan Napierski.

Krzyś.

Janosik z mogiły
powstał i, mówią, wszedł w pana hetmana,
nic mu nie zrobi żaden wróg...

Czepiec.

Janosik
zaciął swą szablę w jaworze, lecz dzisiaj
jeszcze nie nadszedł jego czas, choć słuchy
takie rozpuszcza sam hetman, by zdurzyć
głupich górali...

6-ty góral.

Tak mówisz?

Czepiec.

Tak mówię...
Jasny pan hetman wie, że śmierć go czeka:
on krew niewinną przelał — ranił starca,
co mnie i Sawkę wybawił od gardła...
A skazowała mu ta wiedźma stara:
do tela będziesz chodził po tym świecie,
pokiel niewinnej krwie nie puścisz... Wielki
strach zdjął hetmana, a że mu wiadomo,
jako nic tutaj strzelbą nie dokaże
ani szabliczką, tak umyślił, wiecie,
ratować duszę na inne sposoby —
zdradą!

Krzyś.

Do kata!... Kłamstwo!

Czepiec.

Da! naj meni
Boh pomahaje! Dobrze podsłuchałem,
jak się z Łętowskim spiknął i z Radockim:
wnet uradzili, coby się dla oka
bronić z początku, a potem zamczysko
wydać wraz z nami biskupim — niech ino
złożą przysięgę, że ich puszczą cało...

Krzyś.

Złe weszło w ciebie, Czepiec, i twym uszom
odrzuca słowa twych własnych wnętrzności,
jak to wyraźne echo pod Gerlakiem...

Czepiec.

Nie! kto ciupagą ubił Biczyńskiego,
temu już niema w świecie zlitowania,
choćby sto zamków oddał — wielką zdradą.
Panięta mają w sobie miłosierdzie
ino dla paniąt i dla ich pachołków.

3-ci góral.

O haj! dla paniąt i dla ich pachołków.

Czepiec.

Wysłał też naszych na pewną zasadzkę:
po wszystkich drogach naokoło zamku
roją się pszczoły biskupie... On wiedział,
że nas zamało, aby szturm wytrzymać,
tak nas zostawił jeszcze mniej. Tem łatwiej
wykonać zdradę — tak sobie pomyślał —
my nie przeszkodzim... Chciał i mnie wykurzyć,
abym już wisiał o dzisiejszym ranku,
alem się oparł... Wiem, że jeden z żydków
był u biskupich i wrócił z pisaniem,
obiecującem życie Napierskiemu
i jego służkom, jako że już naszych
oddał im w ręce, a i zamek odda..

4-ty góral.

Zdrajca! zgubieni my wszyscy!

Nie jeszcze!
Wiem, pan Jarocki nie bardzo mu wierzy.
I ja mam swoich, a ci mi donieśli
dzisiejszej nocy, jako ma mniemanie,
że nas tu pełno i że najście chybi...
Potrzeba ubiedz pana Napierskiego...

Inny góral.

Cóż nam wypada?

Czepiec.

W tem już moja głowa.
Żal mu umierać na basztach!... Tchórz! zdrajca!
Żal mu odchodzić od tej gładkolicy.

Tymczasem rozjaśniło się. Napierski zjawia się na murach.

Patrzcie! o świcie zjawił się na murach...
Cicho... nadchodzi... Cicho!...

3-ci góral (do Krzysia.)

Zagraj, Krzysiu,
na przywitanie hetmana...

Czepiec.

Bądź cicho!...
Wiesz, że milczenie przykazał, jak w grobie.

3-ci góral.

A niech przykazał!... Graj nam »zbójnickiego!«
Chłopcy! ciupagi! potańczymy sobie —
niech się pan hetman uraduje z nami!...

(Intonuje.)

Panowie! panowie!
będziecie panami — — —

Czepiec.

Milczeć, powiadam...

(Zjawia się)

Napierski, później **Łętowski, Radocki** i ludzie z ich oddziałów. Goniec.

Napierski.

Dzień dobry, druhowie!
Wesoło, widzę, druhom nocka schodzi...
Czepiec! to twoji?

Czepiec.

Moji.

Napierski (z łagodnym wyrzutem.)

Nie pamiętasz?
Wszak poleciłem, ażeby ze względu
na tego wroga, co się ku nam zbliża
milczkiem i chyłkiem, cicho się sprawiały
warty na zamku.

Czepiec.

Panie naczelniku!
Przebacz, prosimy... Otukno się robi
naszym mołodcom, że się nieprzyjaciół
doczekać jakoś nie mogą...

Napierski.

Przybędą
w sam czas... Lecz dzieło wielkie się rozsprzęga,
jeśli osłabnie karności potęga
śród wykonawców... Kto z was grał?

Krzyś.

Ja, panie.
Alem... ja... wierny.

Napierski.

Czy jest między wami
jakowy człowiek, coby był niewierny
i hetmanowi i sprawie?... Trzydzieści
marnych srebrników wziął-li Judasz...

Czepiec.

Panie!
takiego nie ma...

1-szy góral.

Dla nas setka niczem!
My jak za buczki idziem i za haście,
to po tysiące — i nie po srebrniki,
ale po złoto... Setkę my praśniemy
pierwszemu w drodze dziadulowi.

Napierski (do Krzysia.)

Krzysiu,
wierny mój Krzysiu! Bądź także posłuszny!
Choć ku muzyce wyskakuje dusza,
gdy grać nie wolno, niech smyczka nie rusza
dzielna dłoń twoja!... Dobra nasza sprawa
wymaga ciszy!... Schowaj do rękawa
te jaworowe gęśliczki, zapewne
wycięte z drzewa w kościeliskiej hali,
co na tę bystrą patrzała królewnę,
jak się na los swój szarym turniom żali
i jak zabija swe dziecko...

(Na pół do siebie)

Ej gadki!
Ej pieśni wasze! urok w nich jest rzadki;
chwyta za serce!...

(Do górali.)

Ileż ja to razy
siadywał z wami pod ciemnymi głazy,
przy zapalonych ogniskach i słuchał
waszych śpiewanek i patrzał, jak buchał
płomień z trzeszczącej kosówki!...

(W zadumie.)

Prawdziwie,
życie człowieka jest jak to igliwie:
spłonie, nim biedny człek się spostrzedz zdoła...
Niebezpieczeństwo czyha tu dokoła:

(do Krzysia)

trza mieć otwarte i uszy i oczy,
ażali ku nam śmierć chyłkiem nie kroczy.
Wierny mój Krzysiu, zagrasz jej do tańca,
gdy spojrzy na nas z zamkowego szańca.

(Podał mu rękę, którą ten całuje.)

Jan Kasprowicz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



13)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Wroński przedstawiał na swoich pejzażach krajobrazy wyłącznie miejscowe, zwykle dobrze pomyślane, przestudjowane należycie i wykończone starannie. Malował on widoki „daurskie“, czyli zabajkalskie; widoki z okolic „Tunki“ w dolinie Irkuta; z okolic Bajkała; z „Ussola“ w dolinie Angary etc. Krajobrazów „stepowych, o rozległym widnokręgu, obszarów wielkich, wodnych, n. p. Bajkału nie lubił. Tematami najczętszymi w jego obrazach były: doliny cieniste z ruczajem, lub rzeczką górską, albo też z niewielkiem jeziorkiem w planach dalszych; skały umajone roślinnością drzewną, jak n. p. skała, zwana „Jerozolimską“, położona w pobliżu wsi „Balzyny“ w Daurji; góra „Ałchanaj“, widziana z doliny rzeki „Ili“, wpadającej do Onona; góra „Chamar-daban“, wynurzająca się z głębi doliny rzeki „Sliudianki“ nad Bajkałem; góra, którą nazwaliśmy „Czekanowskiego“ widziana z drogi „Chamardabańskiej“, wiodącej w głąb gór Bajkalskich; a następnie partje dzikie, lecz właśnie dla tej dzikości swojej urocze, z dolin rzek „Bystrych“, wpadających do Irkuta i rzek: „Pachabichy“, „Tałej“, „Kułtusznej“, „Śnieżnej“, „Utulika“, wpadających do Bajkału.

Koloryty drzew i łąk oddawał Wroński zwykle tak, jak je widział przy świetle słonecznem, nadto celował w odtwarzaniu głębi perspektywy powietrznej, tę ostatnią w obrazach Wrońskiego nazywali znawcy, jak np. hr. Ed. Czapski, współtowarzysz malarza w więzieniu piotrowskiem i siwakowskiem — bardzo trafnie „nieocenioną“, i rzeczywiście wybór przymiotnika dla charakterystyki perspektywy rzeczonej był szczęśliwy, bo ani jej samej, t. j. perspektywy, ani obrazów Wrońskiego w ogólności, ocenić na Syberji nie umiano, to też ze sprzedażą pejzażów, szczególniej olejnych, miał artysta zawsze wielki kłopot, trzeba je było wysyłać do Europy i czekać lata całe, aż je spieniężono nareszcie, a i to dzięki niezmordowanym staraniom przyjaciół Wrońskiego: ś. p. Stanisława Kietlińskiego i Henryka Nowakowskiego.

Gdy praca nad ulubionym przedmiotem pejzażów artystycznych nie była w stanie zapewnić utrzymania Wrońskiemu, musiał chcąc nie chcąc brać się do innych zajęć, nie wychodzących jednak nigdy po za obręb jego zawodu, malował więc dekoracje do teatru w Irkucku, a z pomiędzy nich odznaczała się wykończeniem starannem piękna kurtyna główna, odtwarzająca widok wspaniały na Amurze, w miejscu zwanem „Wrotami Chinganu“; następnie przemalowywał Wroński tła pejzażowe do portretów, tak n. p. do portretu wielkich rozmiarów, przedstawiającego głośnego poetę rosyjskiego „Dierżawina“, z galerji obrazów w pałacu generał-gubernatora, a ostatecznie był zmuszony czerpać środki konieczne do egzystencji, także i z lekcji prywatnych, udzielanych dzieciom zamożniejszych mieszkańców Irkucka; lekcje te były w ogólności skąpo płatne, a do tego wielce niewdzięczne z powodu miernych, a najczęściej żadnych zdolności rysowniczych ze strony uczniów; wyjątek stanowiły pod tym względem dzieci pp. Popławskich, zdolne, pracowite, oddające się z zamiłowaniem rysunkom i malowaniu.

Ogólnie biorąc wszystko w Irkucku składało się dla Wrońskiego w ten sposób, że z biedą nigdy się rozstać nie mógł, doskwierała ona jemu szczególniej wtedy, gdy zasłabł na oczy, albo gdy go reumatyzm powalił na łoże cierpienia. Dla poratowania zdrowia wyjeżdżał parę razy na wieś, a w chwilach swobodniejszych od zajęć bawił podczas wakacji letnich w Kułtuku nad Bajkałem i wtedy to rysował z natury ryby syberyjskie i zwiedzał wspólnie z nami pieszo góry Bajkalskie.

Z chwilą, gdy ogłoszono, długo wyczekiwane, manifesty i łaski „więźniowie polityczni“(*) otrzymali po większej części pozwolenie na wyjazd z Syberji, ażeby odbywać kary czyścowe w Rosji europejskiej, zanim zasłużyć zdołają na niebo ojczyste. Wielu tedy ze znajomych i przyjaciół Wrońskiego pożegnało go na zawsze, pozostał więc osamotniony z myślą stale zwróconą ku Warszawie; zbierał grosz do grosza, odmawiając sobie wszelkich zbytków, ażeby tylko mieć możność opuścić Syberję z tą chwilą, gdy koleją stopniowych ułaskawień pozwolono mu będzie bez stacji pośrednich wyruszyć wprost do kraju. Nie prędko jednak spełniły się życzenia i pragnienia Wrońskiego, cały jeszcze szereg lat przemęczył się w Irkucku, aż nareszcie wrócił do Warszawy, lecz przybył on tam nie z siłami młodości i ze zdrowiem, niezbędnem do pracy, ale schorowany i z niezmiernie osłabionym wzrokiem.

Walkę nową o byt, podwójnie ciężką z powodu cierpień fizycznych, wiódł bez szem-

(*) Na Syberji dzielono zesłanych politycznych na dwie kategorje. Polaków zaliczano do tak zwanych „Paliticzeskich zsylnych“, rosjan do „Gasudarstwiennych prestupnikow“.

rania na losy, ze spokojem i rezygnacją człowieka, przywykłego do niepowodzeń. Szczęścia nie zaznał i w kraju, bo go nie było w ojczyźnie. Przebywał chwilowo to w Warszawie, to w Lubelskiem, czas jakiś bawił w Petersburgu i rozstał się z życiem nagle, wyjechawszy na wieś. O zgonie jego otrzymaliśmy wiadomość spóźnioną; zeszedł ze świata cicho i niepostrzeżenie, jak był cichy żywot jego, poświęcony pracy ulubionej, a opromieniony tylko miłością kraju i nadzieją lepszej dla niego przyszłości, w imię tej przyszłości cierpiał i pracował i z wiarą, że po ciężkich próbach udręczenia nastać musi świetlana zorza swobody, zeszedł do grobu.



10)

Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

Kiedy podano zupę, podniósł się z miejsca prezes sędziwy, Jan Francisci i przemówił do zgromadzonych: »Jako ojcowie nasi poczynali każdą czynność od Boga, tak i my też, trzymając się zwyczaju, odziedziczonego po nich wraz z cnotami narodowemi, rozpoczniemy dzisiejszą ucztę modlitwą i odśpiewaniem staro-słowackiej pieśni: »Ojcze nasz«.

W chwili, gdy ks. Kmet', w odpowiedzi na te słowa, błogosławił zgromadzonych, kurtyna w głębi sali powoli się podniosła, a ze sceny odezwał się zgodny akord chóru mieszanego. I nad głowami naszemi przepłynęła pieśń, pieśń-modlitwa, cicha, pokorna w wyrazie, anielsko płynna w melodji, kojąco łagodna w harmonji, która, choć nie zabliźniała ran, to tchnieniem balsamicznem przynosiła ulgę sercu zbolałemu i umysłowi rozwichrzonemu porywami rozpacznemi i spadkami nagłemi.

Jan Francisci to weteran z 1848 roku i chorąży idei narodowo-słowackiej. Nieco młodszy (ur. w r. 1822) od swoich współbojowników: Józefa Miłosława Hurbana, Ludowita Sztura i Michała Miłosława Hodży, jest on patrjotą tej samej szkoły, co tamci — nieprzejednanym. Józef Miłosław Hurban, ojciec dzisiejszego działacza, poety i publicysty Światozora, zacny pastor protestancki w Hłubokiem, uczony teolog, wyborny powieściopisarz i znakomity poeta-liryk wraz ze Szturem i Hodżą, to trójca, która słowem i czynem podniosła znaczenie słowaków w państwie i w literaturze. Należeli oni do liczby tych, którzy, nie oczekując sprawiedliwości od madziarów, wystąpili otwarcie do walki, wbrew nawet intencjom partji młodosłowackiej, wytworzonej przez Palarika, a łudzącej się możliwością ugody z madziarami. Wprawdzie sprzymierzyli się z reakcją, lecz w interesie swojego narodu. Wziąwszy w swe kombinacje interes dynastyczny, przez ówczesne na Węgrzech wypadki (1848 r.) zagrożony, podali chętne ucho poszeptom wiedeńskim i, nie wiedząc, że są tylko prostem narzędziem, wywołali powstanie na Słowacji. Po uśmierzeniu powstania węgierskiego zostali przez austrjaków zapomniani i w końcu oddani na łaskę i niełaskę tych właśnie, z którymi za Austrję walczyli. Nie pierwszy to raz Austrja »zadziwiła świat swoją niewdzięcznością«. Niemniej jednak zasługi ich są wielkie. Obudzili oni poczucie narodowe słowaków, wydali mnóstwo książek i broszur, założyli czasopisma: »Nitra«, »Narodnie slovenske nowiny« i »Orol (Orzeł) tatrański«, a nadto zorganizowali stowarzyszenie literacko-narodowe pod nazwą »Tatrin«, którego celem była praca nad podniesieniem literatury i przemysłu słowaków.

Jednym z licznych członków tego stowarzyszenia był Jan Francisci. Oto co pisze o nim Pypin w swojej »Historji literatury słowiańskiej« (Tom II, str. 1042), z powodu założenia »Macierzy słowackiej«. Istotnymi twórcami tego dzieła byli: Jan Francisci i Pauliny Tóth. Francisci odbywał swoje studja w Lewoczy i Preszburgu, dwóch głównych schroniskach ówczesnego ruchu patrjotycznego. Poczucie narodowe obudziło się w nim wcześnie: wraz z licznymi przyjaciółmi zbierał pieśni ludowe, podania i bajki. Z tego czasu pochodzi jego poemat »Mojim vrstovnikom«.

Po usunięciu Sztura od katedry w Preszburgu, poszedł on wraz z dwudziestu towarzyszami, wśród ciężkiej zimy z Preszburga do Lewoczy. Tam jednak zabroniono mu wykładów języka słowackiego i literatury. Jako członek »Tatrina« wydał »Slovenske povesti« (bajki słowackie). Następnie studjował prawo i poświęcił się sądownictwu. W r. 1848 wstąpił do gwardji narodowej; kiedy jednak wraz z Daksnerem i Bakulinim odmówił udziału w walce przeciwko serbom i chorwatom, a za nim odmówili też i wszyscy słowaccy ochotnicy, został skazany na powieszenie. Wejście Windischgrätza do Pesztu uwolniło go od kary śmierci. Po uśmierzeniu powstania węgierskiego wstąpił nanowo do sądownictwa i zyskał sobie uznanie samych nawet madziarów. Przez jakiś

czas był żupanem komitatu liptowskiego. W roku 1861 zaczął wydawać »Pestbudinske vedomosti«, w których energicznie bronił praw swojego narodu. Żebranie narodowe, które się w tym roku odbyło w Świętym Marcinie turczańskim, jest dziełem jego pomysłu i zabiegów. On też jednogłośnie obrany został prezesem. Od roka 1861, Francisci, usunięty od służby państwowej, nie przestawał działać, jako publicysta i wydawca. Jego to staraniem i nakładem wyszły tomikami: »Slovenski narodni zabawnik«, »Słoveńska narodna knižnica«, zbiór utworów dramatycznych p. t. »Slovenski divadelni ochotnik« i dwa zbiory książek dla dzieci: »Zornicka, obrazkowy zabawnik pre dietki« i »Powiedki pre słovenske dietki«. Cześć niezmordowanej pracy, wielkiej zasłudze i dzielnemu charakterowi!

Pani Helena Solteszowa jest nietylko przewodniczką, ale duszą »Živeny«, stowarzyszenia niewieściego, które krzewi oświatę wśród ludu i podnosi przemysł w zakresie pracy kobiet. Majątek stowarzyszenia wynosi w gotowiźnie 10 tysięcy zł., a w towarze dwa razy tyle. Słowa pani Solteszowej, że każda słowaczka jest z urodzenia współdziałaczką »Živeny«, wywołały w prasie madziarskiej oburzenie.

Mów podczas obiadu nie było wiele; pozwolono na sześć i te były wypowiedziane. Ksiądz Kmet przeprowadził paralellę pomiędzy darem a jałmużną: dar podnosi ducha, jałmużna upokarza; to też dumny on jest, iż bogacze, umierając, nie zapisują jego społeczeństwu kwot, któreby je swym charakterem upokarzały. Świetną nadto była przemowa ks. Hlinki do młodzieży. Rozpoczął on rzecz od Leonidasa, a skończył na pohańbieniu kosmopolityzmu i indyferentyzmu politycznego. W słowach jego czuć było nietylko mowcę wytrawnego, ale i poetę, który, »jeżeli gryzie, to sercem gryzie.«

Przez cały czas obiadu, który trwał dwie godziny przeszło, stowarzyszenie śpiewacze (»Slovenski spevokol«) wykonywało różne utwory na chór mieszany, a orkiestra cygańska wygrywała na galerji pieśni słowackie.

Tak jest. Profesor Baudouin słusznie twierdził, iż czardasz pochodzi ze Słowacji. Fantazja, wykonana wczoraj przed przedstawieniem, nie była wcale wstępem do czardasza, lecz improwizacją cygańską na temat słowackich pieśni ludowych.

Nastrój ponury i tonacja bałamutna, to dodatek wykonawców: wszakże i oni mają swoją duszę, swoją indywidualność. Podobno cygani zawsze »tragizują« słowackie pieśni i na tem traci ich charakter słowiański, jasny, szlachetny, spokojny nawet w smutku. Bądź co bądź muzyki cygańskiej, niezależnie od motywów i natury kompozycji, długo słuchać nie można. Ci ludzie w efektach są na krańcach siły. Z początku podnieca to słuchacza, lecz w końcu niepokoi i nuży.

»Społoczny obed« skończył się około godz. 4. po południu. Niektórzy współbiesiadnicy, prawdopodobnie miejscowi, uskarżali się, a nawet sarkali głośno, iż obiad był lichy. Nadobna słowaczka, jasnowłosa, z twarzyczką okrągłą, z oczami niebieskiemi, które wyglądały, jak dwa chabry w złotem polu, odpowiedziała z dobrotliwym uśmiechem:

— Albożeśmy to na jedzenie zjechali się do Świętego Marcina?

Bądź co bądź dzierżawca kawiarni, bez dostatecznie licznej służby, zrobił, co mógł. Komedja złośliwa posyłania po wino do innej »korcsmy«, powtórzyła się jednak. Dobrze byłoby widzieć madziarów u nas w resursie obywatelskiej, posyłających w czasie uczty służbę z flaszeczką lub kufelkiem do składu spirytualjów.

Po obiedzie poszliśmy wraz z kilkoma księżmi na kawę do hotelu Balko i Starke. Księża byli w połowie katolicy, w połowie ewangielicy. Co za energja temperamentów! Co za niezłomność ducha! Co za prawość serc.

— Więc niema waśni religijnych z powodu różnicy wyznań?

— Uchowaj Boże!

— My tu wszyscy, jak nas widzicie — odparł ks. Hlinka — żyjemy, jak bracia. Jeden drugiemu pomaga, jeden drugiego broni.

— A kwestja antysemityzmu?

— Żydzi idą ręka w rękę z madziarami i czego madziar nie zdoła, to żyd dokona. W szynku z chłopami są przebiegli, a przy wyborach bezczelni i okrutni.

— Czy są pośród słowaków ludzie bogaci?

— Niema.

— Czyjże jest n. p. ten piękny dom naprzeciwko?

— To dom wdowy po kominiarzu.

— Co?!

— Tak jest: ma ona dwie kamienice, z których dochód czysty wynosi przeszło 8.000 złr. rocznie.

— A więc słowak może się dorobić, bodaj na kominiarstwie?

— Bynajmniej: kominiarz był madziaronem; słowak prawy nie dostanie koncesji tak intratnej.

— Czy nie wygralibyście na zlaniu się duchowem i umysłowem z czechami, jak to pierwotnie było dążeniem Szafarzyka, Kolara, Hollego?

— Powiększylibyśmy tylko ich zastęp umysłowy i bylibyśmy odcięci od ludu, z któregośmy wyszli, dla którego pracujemy i dla którego jedynie pracować chcemy.

— A jednak dziwną jest rzeczą, iż, przy pomocy i względnem już uświadomieniu narodowem ludu, nie możecie przeprowadzić ani jednego kandydata na posła do parlamentu. Wszakże w 58 okręgach wyborczych jesteście liczebnie tak silni, że powinnibyście mieć tyluż posłów, gdy tymczasem...

— Tymczasem nawet kandydaci-madziarzy z tak zwanej partji ludowej, na których ostatecznie głosujemy, przepadają albo zaraz przy wyborach, albo zaraz po wyborach. Każdy powód,

bodaj najbardziej błahy, wystarcza, aby wybory były unieważnione i nowe, z nową presją, zarządzone. Och! bo wy nie wiecie, co to »liberalizm madziarski«! Liberalizm, czcze słowo, na którego wspomnienie krew ścina się w żyłach! Komisja wyborcza układa dowolnie listę wyborców. Jeżeli tego potrzeba, cała wieś bywa od głosowania usunięta; jeżeli to nie wystarcza, miasto, do którego mają ściągać wyborcy, bywa otoczone kordonem.

— Z jakiego tytułu?

— Dyfteryt n. p. panuje w mieście.

— Czy gwałty podobne znajdują odgłos w prasie zagranicznej?

— Jesteśmy za górami, za lasami! Zresztą, co to pomoże? Znacie pewnie broszurę niemiecką, w której na 160 stronicach opisane są »Wybory liberalne na Węgrzech w r. 1896.»? (Liberale Wahlen in Ungarn im J. 1896.)

— Niebardzo.

Oto dwa przykłady z pośród setek innych, jak je prof. Zawiliński w cennej swojej pracy o słowakach podał.

A. Sygietyński

(Ciąg dalszy nastąpi).

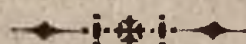


SPŁATA

PRZEZ

PAWŁA BOURGET'A.

Przekład Eugenji Żmijewskiej.



(Ciąg dalszy.)

— Zdaje mi się -- rzekłem mu na pożegnanie — że i ja pójdę za twoim przykładem i przerzucę się na medycynę.

Nie przerzuciłem się na medycynę; to postanowienie ograniczyło się do kilku odwiedzin w szpitalu, które miały ten dobry skutek, że zmusiły mnie wniknąć w świat prawdy. Dotychczas znany mi był tylko świat marzeń.

Jak dla wielu młodych ludzi, pożeranych przedwczesną żądzą sławy, literatura była mi celem, nie zaś tem czem jest: środkiem. Chciałem pisywać romanse, a nic jeszcze sam nie odczułem.

Dobrodziejstwem było wyciągnąć mnie z tego sztucznego, książkowego środowiska, pokazać mi ludzi zwyczajnych, żyjących życiem poziomem, lecz rzeczywistem.

Eugeniusz wyświadczył mi tę łaskę bezwiednie: naprzód tem, że mnie zaprowadził do szpitala, a powtóre, że mnie wprowadził do swojej rodziny, do tego tajemniczego ogniska, które narazie wydało mi się tylko cichem. Jego tajemniczość przeniknąłem później dopiero.

Starzy Corbièrowie mieszkali z synem na drugiem piętrze bardzo starego domu przy bardzo starej ulicy, w pobliżu Panteonu. Ta ulica, zwana niegdyś Puits-qui-Parle; w następstwie otrzymała mniej staroświecką nazwę: Amyot.

Gdy niekiedy puszczę się na pielgrzymkę do tych starych kątów, to widzę, że od lat dwudziestu pięciu wszystko tam jest, jak było.

Co kilka godzin, nieczęściej, jaka dorożka zaturkocze na bruku szkaradnym, to też między kamieniami trawa porasta, jak na prowincji. Gałęzie drzew wyzierają przez parkany; stróże domów, tak, jak dawniej, na środku ulicy prowadzą nieskończone gawędy ze sklepikarzami i lokatorami mieszkań parterowych, dzieci bawią się w guziki lub grają w piłkę, a to najspokojniej w świecie, bo ruch kołowy nie przeszkadza tym zabawom.

Domy najróżnorodniejszych stylów przypominają, że ta dzielnica wzrastała powoli, w miarę potrzeby, nie zaś gwoli postanowień rady miejskiej, której wyroki stwarzają budowle jednostajne, nadające wyglądowi Paryża cechę nieznośnie nudną.

Te ramy pasowały wybornie do nieruchomych, zdrętwiałych jakby twarzy rodziców mego kolegi.

Eks-woźny był bardzo wysoki, bardzo chudy, na twarzy miał wyraz chłodny, tylko w oczach niebieskich, tak jak u syna, blask niezwykły.

Dziś wiem, że w tych oczach płonął ustawiczny wyrzut sumienia. W owym czasie upatrywałem bałwochwalczą miłość rodzicielską — drugiej takiej nie zdarzyło mi się spotkać w życiu.

Ten poczciwiec, który cały swój żywot strawił w przedpokoju ministerjalnym, dla siebie nic nie żądał; wszystkie swoje ambicje, wszystkie swoje marzenia skupił na synu. On miał mu nagrodzić tę nędzną egzystencję.

Szczupłe mieszkanie, skromne meble i odzież obojga rodziców świadczyły, że zasoby tej rodziny muszą być nader szczupłe.

Eugeniusz miał jednak zawsze na kupienie książki do nauki, miał czas na naukę. Ojciec nie pozwolił mu dawać korepetycyj. Odgadywał sercem kochającem, że lata młodzieńcze liczą się potrójnie i że zupełna swoboda myśli i czasu w tym okresie jest dobrodziejstwem nieocenionem, które w następstwie zapewnia należyty rozwój umysłu i wzmacnia siły do przyszłych walk życiowych.

— Powiadam zawsze Eugeniuszowi — mawiał — o nas nie myśl. Nasze szczęście w tobie jedynie. On, panie, musi być sławnym, i będzie... Tak sobie zawsze myślałem, jeszcze jak był małym chłopcem... Spojrzyj pan na

jego nagrody... Jest tego ośmdziesiąt siedm tomów!...

Ręką zgrubiałą w ciężkiej pracy, wskazywał mi cały szereg grzbietów na półkach biblioteczki mahoniowej oszklonej. Dzieje jego miłości dla syna zawarte były w tych księgach; zwykł był je nazywać swojemi „tytułami szlachectwa“.

Ot w jaki sposób zrodziła się ta ambicja rodzicielska.

Chłopak chodził do szkoły kierowanej przez zakonników. Był zdolny, uczył się łatwo i szybko.

— Wartoby go dalej popchnąć — mówił Ojciec przełożony.

Rodzice naradzili się ze sobą:

— Ha! trzeba będzie zaoszczędzić na tytoniu, na cukrze, obejść się bez posługaczki — taka zapadła uchwała na tej naradzie.

Chłopak idzie do liceum. Uczy się doskonale. Chcą go odebrać z czwartej klasy, po egzaminach. Ale dostaje znowu nagrodę. Nauczyciele chwalą go, rokują mu świetną przyszłość. Więc znowu, po naradzie zapadła uchwała, aby skończył liceum, zdobył bakalaureat.

Te same narady przed uniwersytetem i uchwała jednaka.

Starzy w dalszym ciągu odmawiają sobie wszystkiego. Ojciec sam froteruje podłogi, sprząta pokoje, nosi wodę. Wreszcie występuje z ministerjum, aby módz lepiej usługiwać synowi.

Jego twarz czerwona, posiekana zmarszczkami, nosiła cechę uporu i wytrwałości chłopskiej.

Mieszkanko czyściutkie składało się z sześciu sztuk: kuchni, sieni, sypialnego pokoju rodziców, salki jadalnej, saloniku, właściwie pracowni Eugeniusza i wreszcie jego sypialni.

Student zajmował więc trzecią część lokalu — ma się rozumieć najobszerniejszą, słoneczną, z oknami, wychodzącemi na ogrody. Tylko w jego apartamencie panowała wygoda, a nawet względna wytworność.

Mój kolega dawał się psuć, trochę przez samolubstwo, właściwe uczonym, a głównie w myśli, że te wszystkie ofiary wynagrodzi sowicie.

Ile razy namawiałem go na pójście do teatru lub na spacer, opowiadał:

— Nie mogę. Muszę myśleć o swoich starych.

Wiedziałem wybornie, że jego „starzy“ cieszyliby się tylko, gdyby się rozerwał; ale on starał się zasłużyć na ich ofiary, a przykładał się do tego tembardziej, że odgadywał w nich dziwną drażliwość i skłonność do cierpienia.

Istotnie w domu tym było zawsze smutno. Na czole ojca, przeciętem grubemi żyłami, ciążyła jakaś nieustanna troska. Może obawiał się umrzeć, zanim dosięgnie szczytu marzeń, zanim jego syn zostanie profesorem uniwersytetu, członkiem Akademji?

A może ta długa i kosztowna edukacja wyczerpywała powoli jego drobne oszczędności i trapił się: co będzie teraz, gdy jedynem źródłem dochodu zostanie emeryturka, pobierana z ministerjum. Może wreszcie był posępnym z natury.

Takie pytania musiał sobie zadawać nieraz jego syn, a i mnie nasuwały się na myśl, ilekroć twarz pana Corbières zasępiała się jakimś wewnętrznym niepokojem.

Przyczyna smutku pani Corbières była zrozumialszą. Tak mi się przynajmniej zdawało. Eugeniusz zwierzał mi się nieraz ze swoich obaw o zdrowie matki. Według jego djagnozy groził jej rak na wątrobie.

Była to kobieta krępa, za młodu musiała być bardzo ładna czerstwą urodą i silną budową. Pochodziła z Prowancji i jak wszystkie Prowansalki, odznaczała się zgrabnemi rękoma i nogami. Oczy czarne płonęły w twarzy znękanej.

Pomimo, iż pani Corbières była dla mnie zawsze uprzejma, nie czułem się jednak z nią swobodnym. Dlaczego? Nie mógłbym określić. Robiła na mnie wrażenie osoby, przejętej nieufnością, a nawet niechęcią dla ludzi.

— To dusza sterana — mówił mi Eugeniusz, gdym go zapytywał o zdrowie matki. — Gdybym był wierzącym, patrząc na nią, gotówbym zwątpić w sprawiedliwość Boską. Znasz moją matkę. Patrzysz na jej życie. Od czasu, jak siebie zapamiętam, widziałem ją zawsze zajętą innymi, nami dwoma — ojcem i mną. Życie jej schodziło pomiędzy targiem a kuchnią, na cerowaniu naszej bielizny, łataniu odzieży, słowem, na zajęciach uciążliwych, służebnych, choć wzrosła w lepszych warunkach i otrzymała edukację. Jeśli kto zasługuje na spokój ducha, to ona, a jednak go nie ma. Nabożna jest, ale religja służy jej do wytwarzania sobie skrupułów, które ją wycieńczają i gryzą. Wiesz jak jest wątła, a niema sposobu wstrzymać jej od postów. Co roku przed Wielkanocą obawiam się o jej zdrowie, nawet o życie. Nic nie pomagają prośby i zaklęcia. Chciałbym pomówić z jej spowiednikiem, ale nie wiem, do którego chodzi. Jest bardzo skryta na niektórych punktach, a zwłaszcza na tym. Nie lubi pytań; robią jej przykrość widoczną. Ludzie religijni prawią o czystem sumieniu. Właściwie należałoby mówić o dobrym żołądku i zdrowej wątrobie. Organizm cielesny zatruwa duszę. (C. d. n.)

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.